

Tadeusz Biliński

Bandyci z wąwozów

Palestra 41/3-4(471-472), 72-79

1997

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

PRAWO ❖ KULTURA ❖ NAUKA

na świecie

Tadeusz Biliński

Bandyci z wąwozów

Okolice Gwalioru w indyjskim stanie Madhya Pradesh przypominają pylistą bezwodną równinę pociętą setkami głębokich wąwozów. Tam, gdzie płyną nieliczne, prawie całkowicie wysychające w porze suchej strumienie i rzeczki znajdują się ruiny strażnic i forteczek, których założycieli nikt już nie pamięta. Te ziemie od wieków były ostoją dakoitów – grabieżców, bandytów, złodziei. Kto nie radził sobie, albo nie potrafił wytrzymać w zorganizowanym społeczeństwie uciekał do wąwozów. W okolice Gwalioru trafiają rozbitkowie społeczni z całych północnych Indii.

W Mathurze, niewielkiej, zapyziałej mieścinie niedaleko Delhi, ale słynnej, bo wiele setek lat temu (nikt już nie pamięta dokładnie jak wiele) urodził się tam bóg Kryszna, na centralnym rynku przy świątyni hinduskiej otoczonej jarzynowymi straganami spotkałem Ram Singha. W pomiętej, zszarzałej białej bawełnianej koszuli i podwiniętych nad kolana dhoti, kucał po indyjsku na występie świątyni spoglądając wokoło znad groźnych, sumiastych wąsów. Ram Singh był znany w Mathurze, znany od tej gorszej strony, szczególnie, kiedy wrócił w wąwoz okolic Gwalioru. W gruncie rzeczy wystarczy powiedzieć „wrócił z wąwozów” – i każdy wie o co chodzi.

Byłem jedynym cudzoziemcem w mieście, pełnym pielgrzymów przybywających na święto Janmasthan – rocznicę urodzin Kryszny, więc wpadłem Ram Singhowi w oko. Kiwnął na mnie palcem wyprostowanej ręki opartej na kolanie. Miał na nim znacznych rozmiarów złoty pierścień z niebieskim kamieniem. Zachowywał się władczo, jak gdyby siedząc tu u podnóża świątyni, na starych, wytartych kamieniach w tej swojej szaroburej koszuli władał całym miastem, a może i czymś więcej. Podaliśmy sobie ręce.

– Witaj w Mathurze – powiedział.

– Dziękuję. To prawdziwa przyjemność, że mogłem tu przyjechać. Piękne miasto – odparłem, choć była to duża przesada. Kupy odpadków, otwarte ścieki, w których czarne, szczeciniaste świny poszukiwały pożywienia, krowy tarasujące wąskie uliczki starej, nadrzecznej dzielnicy.

– Niewielu turystów przyjechało, dlaczego? – zapytałem.

– Boją się – odparł Ram Singh – BJP (Indyjska Partia Ludowa) obiecała akcję „uwolnienia” meczetu w Mathurze. Tak samo jak wcześniej łomami i kilofami

uwolnili Babri Masjid w Ajodhji – roześmiał się – te kaszmirskie muzułmańskie psy zapowiedziały podłożenie bomby w świątyni Kryszny. Sikhowie, te pomioty wielbładzie, też grożą. Dlatego mamy tyle policji w mieście.

Ram Singh splunął i potoczył ręką wokoło. Policjanci siedzieli, stali i kucali, miłośnie obejmując swoje antyczne karabiny Enfield 303 pamiętające pierwszą wojnę światową.

– Ale ty się nie bój, przyjacielu – odezwał się milczący dotąd towarzysz Ram Singha. – „Dada” (szef) cię polubił – dodał ze śmiechem szturchając Ram Singha pod żebro – nic ci się nie stanie. Nawet policja nie dała rady naszemu „Lwu”! – (Singh znaczy lew). Obaj się roześmieli. – Nie dali rady w wąwozach, nie dadzą i w Mathurze. Wszyscy wiedzą, że tu, w mieście, rządzi dada!

Wieczorem wybrałem się rykszą do Ram Singha „na herbatę”. Nie bez pewnych obaw, chociaż zostałem zaproszony z pełną kurtuazją. Mieszkał na przedmieściu Mathury. Jechaliśmy najpierw słabo oświetlonymi ulicami ułożonymi z wielkich kamiennych płyt pamiętających czasy Mogołów. Ulice wiły się i kręciły, wydawałoby się, że bez końca, jak w upiornym chaosie. Potem skończyło się oświetlenie i ryksiasz pedałowal po gruntowej drodze. Gdzieś w rozpadających się domkach tliły się żarówki. Zaczął siąpić słaby deszczyk. Było gorąco i parno. Całą koszulę miałem oblepioną potem. Ryksiasz skreślił w jakąś bramę i zatrzymał się na podwórku. W sąsiedztwie zaskowyczał pies.

Mieszkanie mojego nowego przyjaciela, za jakiego uważał się Lew, było niewielkie, urządzone w stylu indyjskich seriali telewizyjnych o bogaczach z Bombaju, pomieszanym ze scenami z życia Kryszny. Był to melanz malowanych na złoto krzesel, foteli i kanap, obitych jaskrawofioletowym nylonem, wysokopołyskowych stolików i barwnych litografii hinduskich bóstw, na których każdy miesiąc wyglądał jak miesiąc, z obciążonych głów kapała prawdziwie krwawego koloru krew, a młody Kryszna leżący na barwnej makatce miał jak najbardziej autentycznie różowitkie ciałko niemowlęcia.

Ram Singh przyjął mnie wylewnie. Zaraz na początku dostałem dużą szklanę indyjskiej whisky z wodą sodową, po czym na stole, w odstępie kilkuminutowym zaczęły pojawiać się potrawy. „Herbata” przekształciła się w trzygodzinną, obfitą kolację. Nigdy nie przypuszczałem, że w takiej nędznej dzielnicy, prawie wśród slumsów można było tak dobrze zjeść. Do stołu podawały trzy kobiety. Nie jadły razem z nami. Wyłącznie przynosiły nowe potrawy, wodę i zbierały brudne nakrycia. Jedliśmy palcami.

– Jak długo byłeś w wąwozach? – spytałem.

– Dostatecznie długo, żeby przerazić całą lokalną policję i napędzić stracha wszystkim wrogom. Do tej pory robią w portki na samo wspomnienie, na samą myśl, że nasz Lew mógłby wrócić – odpowiedział za szefa chudy zastępca. To się spodobało Ramowi. Klepnął go po kolanie, wyraźnie zadowolony. Urwał kawałek ciapaty – indyjskiego cienkiego podpłomyka, ujął zgrabnie w trzech palcach prawej ręki, zanurzył to wszystko w sosie, po czym włożył do ust. Wierzchem dłoni wytarł wąsy.

– Pracowałem w grupie Malkiat Singha – powiedział powoli, z namysłem, patrząc mi w oczy. – To był wielki dowódca. Ufał mi. Darzył mnie zaufaniem jak brać. Powierzał mi zdobyte pieniądze i kosztowności. Czasami napadaliśmy na wsie, ale zazwyczaj wystarczyło, że poszedłem do wioski i wstąpiłem na rozmowę do sołtysa. Wieczorem odbieraliśmy okup. Po co nam przemoc, jeśli mieliśmy co trzeba bez zabijania? Czasem porwaliśmy dziecko jakiegoś bogacza. Wypuszczaliśmy za okupem.

– A jeśli nie płacił?

– No cóż – Singh urwał nowy kawałek ciapaty i zanurzył w pikantnych, gęstych jarzynach. Wzruszył ramionami. – Z reguły płacili.

– Czasem zatrzymywaliśmy ciężarówki na szosie do Gwalioru. Wyciągaliśmy im gotówkę ze skarpetek i spod siedzeń. Kiedyś, zresztą przez pomyłkę, obrabowaliśmy konwój samego „district collectionera”. To dopiero była zabawa! Ścigali nas potem przez cały tydzień. Raz wyczyściliśmy z forsy pasażerów pociągu. Ale to był błąd. Władze ściągnęły specjalnie posiłki policyjne z innych stanów, które rozbiły nasz oddział. Malkiat zginął, ja sformowałem własną grupę. Ale wtedy wszystko popsukała ta dziwka, ta mallahska zdzira.

– Mówisz o Phulan Devi?

– Jaka tam z niej „devi” (bogini), zwykła niedotykalna, najwycyzajniejszy kozi pomiot, suka, którą łomotał każdy w okolicy. Popsuka wąwozy, popsuka dakoitów. Jak zresztą mogło być inaczej, jeśli ona, parszywa niedotykalna dziwka wzięła się za naszą pracę. I podniosła rękę na nas, na Thakurów! Zamordowała dwudziestu Thakurów! Ludzi z mojej kasty! – wpatrywał się we mnie przenikliwie.

Pokiwałem głową z oburzeniem i niedowierzaniem. Niewątpliwie zabicie Thakura to coś znacznie gorszego niż zastrzelenie jakiegoś parszywego pariasa.

– Dopiero wtedy się zaczęło! Tyle policji w wąwozach najstarsi ludzie nie pamiętali. Nie dało się wytrzymać. Ścigali nas dniami i nocami. Kontakty w miastach powysychały. Nikt nie chciał nam sprzedać amunicji, w ogóle nie chcieli mieć z nami nic wspólnego. Kto z nas przeżył potyczkę a wpadł w ręce policji, tego po prostu zabijano „przy próbie ucieczki”. A co najgorsze, sami policjanci tak się przestraszyli, że nawet „corruption money” nie zdawało się na nic. Ram Singh wpatrywał się przez moment w talerz. – No i popatrz, ta zdzira siedzi teraz w parlamencie!

Wojna kast

Ram Singh nie był antyfeministą, raczej tradycjonalistą. Rozmawialiśmy przez kilka godzin, przedstawił mi swoje trzy żony (a totumfacki pomagier chichocząc pijacko, bo kolejnych szklanek lokalnej whisky „Aristocrat” nie wylewał za kołnierz dodał, że „połowa” kobiet w mieście należy do „naszego Lwa”), sześć córek i dwóch synów, a nawet, choć niechętnie, przyznał, że Phulan „była odważna i potrafiła zachować się jak mężczyzna”. Największym problemem dla Ram Singha był jednak fakt, że Phulan należała do kasty siudrów. No i, że zdecydowała się, wiele lat temu podnieść rękę na Thakurów czyli kszatriów takich jak on.

Mogłoby się wydawać, że układy i lojalność kastowa odeszły w Indiach w przeszłość wraz z przyjęciem konstytucji gwarantującej wszystkim obywatelom równość wobec prawa. Tak naturalnie, z prawnego punktu widzenia, było. Rzeczywistość życia społecznego jest wszakże bardziej skomplikowana. Przepisy prawa, struktury demokratyczne, przyjęcie zasady jeden człowiek – jeden głos, zlikwidowały co najwyżej niektóre, najczęściej powierzchowne, aspekty kastowości. Znaczna ich część funkcjonuje nadal, niekoniecznie w sposób jawny. Inne przekształciły się; nie tyle nawet, że nie zanikły, ale wręcz się umocniły. Dotyczy to w szczególności społeczności wiejskich, biednych, niepiśmiennych, gospodarzo zacofanych. Takich właśnie jakie dominują w okolicach Gwalioru czy Kanpur.

Tradycyjny system kastowy kształtował się w Indiach przez wiele setek lat. Zgodnie z nim społeczeństwo dzieli się, w naturalny niejako sposób, na cztery stany: braminów, kszatriów, wajsjów i siudrów. Bramini, w idealnym, klasycznym społeczeństwie, które zniknęło już bardzo, bardzo dawno temu byli kapłanami i nauczycielami, kszatriowie wojownikami i władcami, wajsjowie kupcami i rolnikami, zaś siudrowie pełnili posługi. Poza systemem stali niedotykalni – pariasi, przez wszystkich pogardzani i wykorzystywani. Ale w istocie pozycja siudrów nie była wiele lepsza niż niedotykalnych. Jak powiada Manusmryti, czyli Kodeks Manu, przez stulecia tworzący zasady na których opierało się hinduskie prawodawstwo, siudrowie winni wiedzieć gdzie ich miejsce. Wypadało im o tym stale i bezwzględnie przypominać. Nawet imiona dzieciom nadawano z uwzględnieniem porządku kastowego. Imię bramina winno być „szczęsne”, u kszatrii ma znamionować siłę, u wajsji bogactwo, zaś u siudry powinno oznaczać wzgardę.

Dominująca pozycja trzech pierwszych kast otrzymała ponadto sankcję rytualną. Kontakty społeczne, jakiegokolwiek bardziej intymnego rodzaju między „podwójnie urodzonymi” kastami braminów, kszatriów i wajsjów a stanem czwartym były jak najsurowiej zabronione. Powód był prosty: ich funkcje społeczne były bardzo różne a zróżnicowanie to dodatkowo umacniała kategoria rytualnego skalania. Znosiła ona nieprzekraczalną barierę między ludźmi należącymi do poszczególnych stanów separując ich przede wszystkim od stołu i łoża. O ile do pomyślenia było małżeństwo kszatrii z braminką (w szczególności, kiedy kszatria był np. władcą, albo księciem), to małżeństwo braminki z wajsją lub siudrą wołało o pomstę do nieba. Ponieważ oczekuje się na nią z reguły dość długo, karę, tu i teraz, wymierzała organizacja społeczna. Według Manu, bramin „dzielący łożę z siudrzynką” wybiera marny los, w szczególności, jeżeli urodzi mu syna. W sposób całkiem naturalny bogowie nie zechcą przyjmować od niego ofiar. Dla bramina oznacza to potępienie. Gdyby zaś siudra porwał się na niespotykany wręcz grzech uwiedzenia braminki, to Manusmryti ze szczegółami opisuje co należy uczynić: „Jeśli siudrzyn się zespoli / Z niestrzeżoną czy strzeżoną / Stanu dwakroć urodzonych / To w przypadku niestrzeżonej / Traci członek oraz mienie / W przypadku dziewczki strzeżonej / Ma utracić całkiem wszystko. (Manusmryti, tłum. M.K. Byrski). Podobne stopniowanie kar w zależności od stanu przewiduje również Arthashastra, klasyczny indyjski podręcznik rządzenia. Za uwiedzenie braminki, kszatria np. musiał zapłacić wysoką grzywnę, wajsji

konfiskowano majątek, siudrę natomiast owijano szczelnie w maty i żywcem spalano.

Prawo do nauki, w szczególności zaś do słuchania tekstów religijnych, przysługiwało wyłącznie podwójnie urodzonym. Siudrę, który nielegalnie słuchał recytacji Wed karano wlewając mu roztopiony ołów do uszu.

Wspólne spożywanie posiłków przez przedstawicieli różnych stanów, w szczególności najwyższych i najniższych było nie do pomyślenia. Ranny ksatrija, umierający z pragnienia na polu bitwy nie mógł przyjąć wody od siudry. Utraciłby kastę, okrył się hańbą i, co najważniejsze, zaprzepaściłby szansę na przyzwoitą reinkarnację.

Czy można się w takiej sytuacji dziwić, że ksatriowie z wąwozów uznali, że mogą Phulan Devi bić, gwałcić, poniewierać spodziewając się, iż w fatalistyczny sposób zaakceptuje swój los? Przecież zawsze tak było.

Życie na wsi

Na tradycyjnej indyjskiej wsi podziały kastowe to jeszcze nie koniec. Niemniej ważne jest zróżnicowanie religijne i przepaść dzieląca mężczyzn i kobiety. W wiosce Phulan Devi nie było muzułmanów. Były natomiast, rzecz jasna, kobiety.

Podróżując po Indiach, bo dotyczy to nie tylko północnych stanów Uttar czy Madhia Pradesh, widać bardzo wyraźnie społeczny podział funkcji obu płci. Z grubsza można było to określić tak: mężczyźni rządzą, kierują, paląc hookah – fajki wodne, wypoczywają na czarpojach – indyjskich łózkach w cieniu drzew. Popijając herbatę gawędzą sobie, poruszając, naturalnie, tematy najistotniejsze. Czasami, na przykład w porze orki, udają się na pole do pracy. Jeżdżą na jarmarki, handlują. Kobiety natomiast zajmują się całą resztą, a więc pracami mniej istotnymi, jak zbiory, noszenie chrustu na opał, wody ze studni, wypasanie inwentarza, karmienie kur, rodzenie dzieci i opieka nad nimi, pranie, sprzątanie i gotowanie. Rzecz jasna, do ich naczelnych zajęć należy również, a może przede wszystkim, usługiwanie mężczyznom. Mężczyźni mają większą wartość niż kobiety. W Indiach dość powszechne jest przekleństwo „obyś urodził się dziewczynką”.

W takiej właśnie społeczności urodziła się i wychowała Phulan Devi. Miała podwójny handicap – kastowy i płciowy. Od większości innych Hindusek różniła się wszakże tym, że nie zamierzała się z tym pogodzić. Za swoją buntowniczą naturę zapłaciła wysoką cenę.

Wydano ją za mąż w wieku jedenastu lat. Jest to w tradycyjnym społeczeństwie indyjskim obyczaj powszechny. W zasadzie, po ślubie, młoda żona-dziecko przez jakiś czas mieszka w domu rodziców. Często się jednak zdarza, że nacisk męża, a w szczególności teściowej, zmusza rodziców do wysłania żony do nowej rodziny, gdzie pracuje w charakterze darmowej służącej. Stało się tak w przypadku Phulan. Ponadto jej mąż, o wiele od niej starszy, był już wcześniej żonaty. Od Phulan oczekiwał, rzecz jasna, poza pracą, także pełnej gamy erotycznych usług. Jej wiek nie robił na nim większego wrażenia. W dzień harowała od świtu do zmroku, w nocy

zaspokajała seksualne potrzeby męża-pedofila. Wszystko przy pełnej społecznej akceptacji. Zawsze przecież tak było.

We wsi Phulan mieszkali niskokastowi Mallahowie i wysokokastowi Thakurowie, należący do stanu kszatriów. Rytualnie i materialnie Thakurowie dominowali nad Mallahami. Uważali, że mają prawo nie tylko do władzy, ale również do kobiet niskokastowych siudrów. Na tym tle doszło do pierwszego zatargu Phulan z młodymi Thakurami. Zamiast, jak to było w tradycji indyjskiej, z uległością przyjąć ich zaloty, Phulan zdecydowała się walczyć. Matka starała się przemówić jej do rozsądku: „Córko, jesteśmy biednymi ludźmi a Thakurowie są potężni. Nie możemy sobie pozwolić na zatarg z nimi”. Phulan nie pomyślała również, że przeciwstawiając się Thakurcom podnosi rękę na majestat państwa, ucieleśniony przez policję.

Chociaż zgodnie z indyjską konstytucją wszelka dyskryminacja oparta o przynależność kastową jest zakazana, to życie ma jednak swoje prawa. Zgodnie z nimi niskokastowych jest w policji niewiele. Na kierowniczych stanowiskach znajdują się z reguły przedstawiciele wysokich stanów. We wsi Phulan byli to Thakurowie. Czy można oczekiwać, iż lojalność wobec, odległej w końcu konstytucji, będzie silniejsza niż poczucie tożsamości wszystkich Thakurów, nawet policjantów?

Wśród bandytów

Odmowa Phulan pełnienia erotycznych posług dla wioskowej elity doprowadziła do jej aresztowania na podstawie zmyślonych zarzutów. W areszcie była bita i gwałcona. Rzecz to tak częsta w Indiach, że sama groźba zatrzymania paraliżuje obywatela tego kraju. Wypuszczono ją po uiszczeniu kaucji 20 tys. rupii. Była to suma, dla rodziny Phulan tak ogromna, że wręcz abstrakcyjna. Kaucję wpłacił jeden z Thakurów. Jako dłużniczka przechodziła w jego władzę o co przecież cały czas chodziło. Stawała się niewolnicą wioskowej elity. Uciekła w końcu do rodziców. Po kilku dniach Thakurowie upomnieli się jednak. Po Phulan przyszli wynajęci bandyci. Ich przywódca, niejaki Babu Singh Gujar, sam nie należący do kasty Thakurów, przyłożył nóż do twarzy jej młodszego brata oznajmiając, że utnie mu nos i uszy, jeśli Phulan nie wyjdzie z ukrycia. Nikt w domu nie miał wątpliwości, iż spełniłby groźbę. W taki sposób Phulan trafiła do gangu. W gruncie rzeczy została więc porwana. Gujar traktował ją jak nałożnicę, czemu nie wszyscy bandyci przyglądali się z zadowoleniem. Pewnego dnia jeden z nich, Vikram Mallah, zastrzelił Gujara. Był to nie tylko akt nieposłuszeństwa wobec szefa, ale więcej, rewolta Mallahów przeciwko wysokokastowym członkom i przywódcom gangu. Doszło do ogólnej strzelaniny, w wyniku której władzę nad bandą przejęli siudrowie.

W międzyczasie, po wąwozie rozeszła się wieść, że Phulan żyje z nowym szefem gangu, Vikramem. Wkrótce stała się pełnoprawnym członkiem bandy. Dostała karabin i policyjny mundur, bowiem dakoici nierzadko zatrzymywali na drogach pojazdy podając się za policję. Nauczyła się strzelać. Cały czas pałała żądzą zemsty. Tym razem mogła zacząć ją realizować.

W pierwszym rzędzie przypomniała sobie o mężu-pedofilu. Pewnego dnia członkowie bandy wyciągnęli go z domu. Najpierw posadzono go tyłem do przodu na osie i oprowadzono po wsi. Jest to w Indiach wyjątkowo upokarzające. Potem został przywiązany do pala a Phulan Devi, jego żona, zmasakrowała go kolbą karabinu. Po tym akcie zemsty stała się słynna w całej okolicy.

Wtedy to ponownie przypomnieli sobie o niej Thakurowie. Któregoś dnia działając z ukrycia zastrzelili jej kochanka Vikrama Mallaha i pojмали Phulan. Została przewieziona do wioski Bommai, zamknięta w szopie i zgwałcona przez kilkudziesięciu wysokokastowych mieszkańców, po czym zdarto z niej ubranie i oprowadzono ulicami. Pobitą i sponiewieraną zostawiono na skraju wsi. Żaden z niskokastowych nie udzielił Phulan pomocy. Strach przed Thakurami był silniejszy od poczucia kastowej solidarności.

Phulan Devi wydobrzała w domu krewnych. Któregoś dnia pojawiła się ponownie w wężozach, tym razem z własnej woli. Na zgromadzeniu wszystkich dakoitów z doliny Chambal, w ruinach starego mogolskiego zamczyska, faktyczny król dakoitów, Mustaqeem, muzułmanin, którego szacunkiem darzyli jednak wszyscy bez względu na wyznanie i kastę przystał na prośbę Phulan Devi. Dostała prawo utworzenia własnego gangu. Od tej chwili jej sława rosła z dnia na dzień.

Zemsta

Ram Singh z Mathury nienawidził Phulan, ale jednocześnie darzył ją dziwnym rodzajem szacunku. Była to kobieta prosta, niewykształcona, niepiśmienna wieśniaczka, siudrzyńska. Ale jednocześnie była, jak on dakoitą. Była odważna, a nawet zuchwała. Dowodząc grupą kilkunastu bandytów napadła na niewielkie prowincjonalne miasteczko podczas hucznego święta rabując sklepy jubilerskie. Zanim policja zorientowała się o co chodzi, dakoici byli już daleko wśród swoich wężozów. Ram Singh potrafił docenić taką zuchwałość. W stosunku do Thakurów kierowała się, na to przynajmniej wygląda, jednym celem – zemstą. Po śmierci Vikrama nie chodziło już wyłącznie o zadane jej gwałty i upokorzenia. Doszła do tego również chęć zemsty za śmierć kochanka.

Któregoś dnia do jej kryjówki dotarł mieszkaniec wsi Behmai. Poinformował Phulan, że dwaj Thakurowie odpowiedzialni za śmierć Vikrama przybyli do wsi w związku z odbywającym się weselem. Phulan zebrała swoich ludzi i ruszyła do Behmai. Dalszy rozwój wypadków nie jest jasny. Wydaje się, że szukając Thakurów grupa Phulan Devi wyciągnęła z domów dwudziestu mężczyzn. Po dość chaotycznym przesłuchaniu połączonym z torturami, które niewiele dały, wszystkich ustawiono pod murem i zastrzelono.

„Masakra w Behmai” stała się w Indiach słynna. Nie dlatego, żeby brakowało innych masakr, ale dlatego, że dokonała jej kobieta z niskiej kasty. Sprawa Phulan Devi nabrała politycznego charakteru. Stała się symbolem walki z opresją, w istocie symbolem podwójnym – sprzeciwu niskokastowych i sprzeciwu kobiet.

Zajęła się nią prasa, zarówno lokalna jak i ogólnoindyjska. Problemu nie dało się już wyciszyć starymi sposobami wysyłając armię policjantów, żeby wybili bandytów do nogi. Każdy ruch przeciwko grupie Phulan Devi nosiłby znamiona aktu skierowanego przeciwko niskim kastom. Politycznie, dla władz indyjskich było to nie do przyjęcia. Postanowiono zatem odwołać się do perswazji.

Po długotrwałych negocjacjach prowadzonych przez wysokich oficerów policji pośrednio i bezpośrednio z Phulan Devi, uzgodniono warunki złożenia broni przez jej dakoitów. Ostatecznie odbyło się to w obecności premiera rządu stanu Madhya Pradesh. Phulan, ubrana w policyjny mundur koloru khaki uniosła swój karabin do czoła, uklękła i złożyła go u stóp szefa rządu. Potem końcami palców dotknęła jego butów w akcie poddania. Wstała i odwróciła się do zebranych tłumów. Powoli narastał skandowany rytmicznie okrzyk „Phulan Devi ki jai!” – „Niech żyje Phulan Devi!”. Dla kilkudziesięciu tysięcy zebranych nie była bandytą, morderczynią, kobietą nieokiełznaną, szalejącą żądzą zemsty i zabijania, ale ofiarą niesprawiedliwości i przemocy. Taką jak oni.

Phulan spędziła w więzieniu jedenaście lat. W 1993 roku wybory w Uttar Pradesh wygrała partia reprezentująca niskokastowych. Warunkowo wypuszczono ją z więzienia. Najpierw zmieniła wyznanie przechodząc na buddyzm. Buddyści nie uznają kast. Potem wyszła za mąż. W 1996 roku wygrała wybory i weszła do parlamentu z ramienia Samajwadi Party czyli Partii Socjalistycznej.

Nadal nie potrafi czytać i pisać.

Na początku 1997 roku Sąd Najwyższy odrzucił jej wniosek o pozostanie na wolności za kaucją. Wciąż grozi jej proces o pięćdziesiąt siedem spraw kryminalnych, w tym masakrę w Behmai.

Thakurowie z Behmai, ci którzy przeżyli rzecz jasna, mają się dobrze.